
Recenzja rozprawy doktorskiej mgr. Marka Sznajdera
Między codziennością a metafizyką.
Dokumentalne i literackie aspekty prozy Chaima Gradego
Napisanej pod kierunkiem prof. dr hab. Anny Szóstak

Już sam pomysł zajęcia się twórczością Chaima Gradego zasługuje na uznanie. Biogramy poświęcone autorowi *Der Shtumer Minyan (Nemego minianu)* bardzo często korzystają z najwyższej skali i mówią o nim jako o „jednym z czołowych” lub „jednym z najważniejszych pisarzy jidysz” czy też jako o „najlepszym interpretatorze literackim” albo „najważniejszym elegiście żydostwa” Jerozolimy Północy (lub: Litewskiej Jerozolimy). Należał do ścisłego grona artystów stanowiących główny filar przedwojennej grupy literacko-malarskiej Jung Wilne – jednej z ostatnich i jednej z najważniejszych dla przedwojennej kultury jidysz. Debiutował w latach trzydziestych i już wtedy zyskał opinię wyjątkowo uzdolnionego poety. Jak pisze o nim pan Marek Sznajder „Dwukrotnie ociera się o najwyższe nagrody literackie, w 1978 przegrywa z Isaakiem Beshevisem Singerem literackiego Nobla, w 1983 pośmiertnie zostaje finalistą Nagrody Pulitzera”. A zatem, skoro tak – ponieważ tyle razy „jeden z naj” – dlaczego jego twórczość niemal całkowicie umknęła polskiemu czytelnikowi. „Z pewnością nie pomaga koniunktura wydawnicza”, jak słusznie zauważył doktorant we wstępnej *Nocie edytorskiej*.

Dwa wiersze pochodzące z debiutanckiego tomiku (*Tak* oraz *Świat w 1934*) przełożone przez Włodzimierza Słobodnika miały ukazać się jeszcze za życia Gradego w *Antologii poezji żydowskiej* pod redakcją Arnolda Śluckiego i Salomona Łastika, jednakże wydarzenia roku 1968 zablokowały druk książki. *Antlogia...* ostatecznie ukazała się w 1983 roku, a więc po śmierci Gradego oraz obu redaktorów tomu. W krótkim biogramie zamieszczonym w książce (podobnie jak w syntetycznym wstępie) w ogóle nie ma mowy o powojennej prozie Gradego. Dwa fragmenty *Szabatów mojej matki* ukazały się

dopiero w 2001 roku w tłumaczeniu Magdaleny Ruty w nieregularniku „Krasnogruda” firmowanym przez Fundację „Pogranicze”. W tym samym numerze ukazał się również tekst *Chaim Grade – wileński „syn proroków”* autorstwa Inny Hecker-Grade, drugiej żony pisarza, a zarazem tłumaczki na język angielski i edytorki jego pism. Była to bodaj pierwsza nieco obszerniejsza opowieść o autorze *Aguny* zaprezentowana polskiemu czytelnikowi. Kilka lat później ukazała się znakomita monografia profesor Joanny Lisek poświęcona samemu ugrupowaniu Jung Wilne. Książce wrocławskiej badaczki towarzyszył również szereg artykułów odrębnych o wczesnej twórczości Gradego. Tam też w formie cytacji zamieszczony został bodaj najobszerniejszy zespół fragmentów wierszy autora *Jesziwy*. Niemal dekadę później w „Midraszu” ukazały się krótkie fragmenty opowiadania *Studnia* i wiersza *Ezechiel* w przekładzie i z wprowadzeniem Joanny Lisek. Dwa polskie przekłady wierszy Gradego znaleźć można również w wydany niedawno zbiorze *Nowe życie? Antologia literatury jidysz w powojennej Łodzi* opracowanej przez Magdalenę Rutę. Znalazły się tu między innymi obszerne fragmenty wstrząsającego poematu *Kielce* z 1946 roku. Wydarzenia, utrwalone w historiografii jako pogrom kielecki, były chyba jednym z istotnych czynników, które zadecydowały o wyjeździe poety – najpierw z Polski, a później z Europy (Grade brał udział w pogrzebie ofiar i wstępnym śledztwie).

Gdyby zsumować wszystkie polskojęzyczne wypowiedzi i tłumaczenia, łącznie z hasłami i biogramami opublikowanymi w leksykonach, liczba stron na pewno nie przekroczyłaby setki. Sprawa znajomości twórczości Gradego wydaje się być jednak porównywalna z sytuacją wielu innych pisarzy tworzących w języku jidysz. Od kilkudziesięciu lat ta wiedza jest sukcesywnie, a nawet intensywnie uzupełniana, jednakże cały czas jest to praca stosunkowo niedużej grupy specjalistów. Mówię tu o grupie badaczy autentycznie przygotowanych do pracy naukowej. Niestety, główną koniunkturę w Polsce cały czas kształtuje bardziej popyt na „judaica” (często wątpliwe estetycznie i etycznie – Elżbieta Janicka i Tomasz Żukowski nazwali to „przemocą filosemicką”), niż zapotrzebowanie na lekturę.

Szkicującemu ów stan rzeczy nie chodzi o zadośćuczynienie sprawozdawczej regule. Te wszystkie opracowania znane są panu Markowi Sznajderowi. Wszelako Doktorant nie rozpatruje ich osobno, lecz włącza w szereg innych publikacji na temat literatury i kultury żydowskiej – głównie tych ogłoszonych w językach angielskim i niemieckim. Ślady tej znajomości bez problemu odczytałem w tekście rozprawy.

Podpowiedziałbym co najwyżej dołączenie tych publikacji, jeżeli nie do tekstu głównego lub do „noty edytorskiej”, to przynajmniej do przypisu lub zamieszczonej na końcu dysertacji bibliografii. Ten prosty gest umożliwi na włączenie się lub otwarcie przyszłej dyskusji – a nie wątpię, że powinno coś takiego nastąpić.

Już sama rejestracja nieznamości (czy też niewielkiej znajomości) Gradego dowodzi ogromnego potencjału, jaki tkwi w podjętych przez Marka Sznajdera badaniach. Prezentacja sylwetki jednego z najważniejszych pisarzy przedwojennego Wilna, przywołanie realiów utraconej społeczności Jerozolimy Północy, a może również przyszła popularyzacja kapitalnej twórczości Gradego wydają się niemożliwe do przecenienia. Tylko z tego powodu gotów jestem gorliwie domagać się dopuszczenia doktoranta do wszelkich dalszych etapów – podkreślam powtórzeniem słowa: dalszych.

Rozprawa poświęcona *Dokumentalnym i literackim aspektom prozy Chaima Gradego* niczego nie zamyka, lecz wydaje się być początkiem dużego projektu badawczego, nie tylko dlatego, że w znaczący sposób wypełnia sporą lukę w badaniach (nie tylko polskich) nad dwudziestowieczną literaturą w języku żydowskim. Przedstawiona mi do oceny rozprawa świadczy o solidnym przygotowaniu merytorycznym doktoranta, który wraz z czekającą na przedstawienie twórczością „najważniejszego elegisty [wileńskiego] żydostwa” pozwala dostrzec tutaj rezerwuar możliwości, który w bezpośredni sposób przekłada się na atrakcyjną ofertę naukową i dydaktyczną. Co więcej, sądzę, że jeśli kontynuacja badań przybierze postać projektu, wówczas ma spore szanse na uzyskanie grantu w ramach Narodowego Programu Rozwoju Humanistyki.

Na stronie 31 swojej dysertacji magister Sznajder zanotuje: „Choć opanowanie języka żydowskiego wymaga wysiłku poznawczego, nie jest to jednak wyzwanie, jak wielu osobom wciąż niestety się wydaje, z pogranicza ezoteryki”. Wydobywam je w tym miejscu, ponieważ sądzę, że gdyby nie wyszło spod pióra autora, mogłoby być znakomitą mottą dla całości. Wielokrotnie złożone wcale nie jest skomplikowane, natomiast od razu ustala pewien porządek. To nie tylko deklaracja metodologiczna, lecz również światopoglądowa. Przynajmniej przede wszystkim przekreśla znak równości pomiędzy „poznaniem” a „wyzwaniem”. Opowieść, jaką jest rozprawa odnajdująca związki *Między codziennością a metafizyką*, nie będzie próbowała odślaniać tajemnic. Nie dlatego, że wycofa się przed nieznanym, lecz z powodu zgodzenia się na najprostsze rozwiązania. Przy czym prosta, niewystępująca w naturze, lecz będąca wyłącznie figurą logiczną (innej nie ma), oznaczać będzie najkrótszy odcinek pomiędzy „przedmiotem” i jego

„reprezentacją”. Zadaniem interpretanta, który zgodnie z przywołaną koncepcją Peirce’a uzupełni „triadę”, nie będzie dopisywanie aneksu, lecz swoiste dopilnowanie zachowania właściwego dystansu („System logiczny, to ekwiwalent obiektywnego modelu rzeczywistości, który mógłby potem posłużyć za matrycę jej opisu” [s. 21]). Dzięki temu to co oczywiste nie przestanie być oczywiste, tajemnica pozostanie tajemnicą, wyzwanie będzie wyzwaniem, a poznanie poznaniem itd. Brzmi to nieco trywialnie – a jednak. Kazimierz Wyka, interpretując kiedyś kapitalnie czytelny wiersz zauważył, że „Wcale ta prostota nie taka prosta. Wcale ta oczywistość nie taka oczywista”. Korzystam z autorytetu krakowskiego profesora nie przez analogię, lecz uciekam przed ryzykiem banalizacji problemu. Odkryciem lektury Wyki było bowiem przesledzenie niezauważalnego wysiłku, starannej redukcji dokonanej przez pisarza, czy też procesu destylacji języka, którego efektem był tekst komunikatywny, pozwalający porozumieć się z każdym czytelnikiem. W przywołanym zdaniu Marka Sznajdera rzecz wygląda podobnie. Język żydowski, chociaż dotyczy grupy zamkniętej w historii, jest w całości inkluzywny. Pierwszy akapit doktoratu, gdzie wyliczonych zostaje czternaście języków (a jest to i tak jedynie synekdocha wielości), informuje, że wielość języka (języków) i jego transformacji nie okazały się przeszkodą dla „zachowania jednej, spójnej tożsamości” [s. 3]. Poprawność ustępuje całkowicie komunikatywności. Nie ma tutaj żadnego uniku – wręcz przeciwnie – ustalenie wielości języków nie jest obejściem problemu, lecz wejściem w sam jego środek. Nieobecność czy też wątpliwa obecność Gradego w języku polskim jest problemem, jednak to nie znaczy, że jego lektura jest niemożliwa. Tego problemu nie trzeba rozwiązywać mieczem, wystarczy brzytwa Ockhama. Źródłem języka żydowskiego jest przeszłość (jidysz to „język utracony”, *farfaln*) podobnie jak świat pisarza. Grade tworząc w tym języku zwraca się do realnego czytelnika (wszak tylko taki istnieje), lecz zarazem toczy rozmowę z światem istniejącym we wspomnieniu (będącym wspomnieniem). Jak zauważa Doktorant w swojej rozprawie: „Grade debiutował w 1936 roku tomikiem poetyckim *Jo (Tak)*, który był jego artystycznym manifestem (wyrażone w nim motywy stale będą towarzyszyć jego twórczości)” [s. 21]. Z kolei *Cemach Atlas (Jesziwa)*, największa, późna powieść, którą magister Sznajder uznaje za epickie spełnienie („tutaj autor jest już w pełni dojrzały i technicznie kompletny”) „analogicznie do kompozycji *Finneganów trenu*, kończy się sceną odsyłającą czytelnika do początkowych, wczesnych tekstów Gradego, które jednakże »kończą się« po niej [s. 29]. Opowieść, jaką jest rozprawa pana Marka Sznajdera zatoczy koło. Doktorant od początku do końca prowadzi czytelnika, a zarazem

trzyma się blisko głównego założenia. Narrator rozprawy unika zaskoczeń, nie celebruje tajemnic ani nie buduje napięcia. Niewielka znajomość i obecność „najważniejszego elegisty żydostwa” w polskiej świadomości czytelniczej pozwala nie wikłać się zanadto w spory, a zarazem maskuje redukcję wątków. Niebezpieczeństwo mnogości hipotez zostaje rozbrojone na samym początku – w pierwszym akapicie. Istotą całej rozprawy nie jest bowiem pytanie o to „w jakim języku czytać Gradego?”, lecz „jak czytać Gradego?”. I temu pan magister Marek Sznajder pozostaje wierny do końca.

Taka figura, kiedy koniec zwraca się w stronę początku, i odwrotnie można by uznać za klasyczny przypadek chiazmu. Tak by było, gdyby sprawę pozostawić retoryce. Od tej pan Marek Sznajder stara się uciec. Dysertacja nie tropi metafor, lecz szuka analogii, a skojarzenie zastępuje sylogizm. Od porządku chronologicznego istotniejszy jest do czegoś, co przy okazji omówienia *Studni* autor rozprawy nazwał (przyznam, że dosyć ryzykownie) „antycznym ideałem »mikrotargetowania«” [s. 111]. Tej regule zostaje podporządkowane omówienie każdego tekstu, ale również kompozycja całej pracy. Stąd regułą stanie się układ łączący w elementy bliskie znaczeniowo i problemowo. Twórczość pisarza nie będzie traktowana jak zespół tekstów i wynikających z nich informacji, które sukcesywnie będą kumulowały się w kompletną wiedzę na temat pisarza. Przy okazji filozoficznego dialogu *Moja wojna z Herszem Rasejnerem (Mayn krig mit Hersh Raseyner)* magister Marek Sznajder zauważa systemową równorzędność pojedynczych zdarzeń i kontekstów. „Z powodu takiej właśnie gramatyki myślenia czytelnik nie uświadczy nigdy u Gradego stron mniej ważnych, raczej każda wzajemnie się uzupełnia (i podtrzymuje swoje istnienie)” [s. 81]. Blisko tu do klasycznej de Saussure’owskiej koncepcji systemu języka, jednak jeszcze bliżej do Ludwiga Wittgensteina – pierwszy rozluźnia funkcję referencyjną znaku, drugi z kolei będzie poszukiwał przestrzeni znaczeń (znaczenia). A zatem „jak czytać Gradego?”

Moja znajomość z panem Markiem Sznajderem ma już kilka lat. Co prawda jeszcze nigdy nie mieliśmy okazji spotkać się osobiście (chyba), jednak kilka lat temu doszło do „spotkania” naszych artykułów w tomie zbiorowym *Literatura i chaos*. Wtedy po raz pierwszy przeczytałem po sąsiedzku tekst o *Piotrusiu* Leo Lipskiego, a w nim propozycję tego, co w *Rozdziale metodologicznym* niniejszej rozprawy zostało nazwane „bebechorealizmem”. Natychmiast zastrzegam, że w powtórzeniu tym nie widzę ani cienia czegokolwiek niewłaściwego. Wręcz przeciwnie. Kolejne przypadki świadczą wyłącznie o konsekwencji prowadzonych rozważań. Moja uwaga ma wyłącznie charakter redakcyjnej

podpowiedzi. Przywołane w tekście rozprawy pojęcie ma swoją tradycję w rozważaniach doktoranta. Informacja o tym na pewno ułatwiłaby lekturę, a na pewno bardzo pomocną byłaby informacja odsyłająca do książki Roberto Bolaño oraz najkrótsza z możliwych charakterystyka – najlepiej taka sama, jaką znalazła się w artykule o Lipskim („Realizm taki w obnażaniu i demaskowaniu miraży stojących za wszelkimi kulturalnymi fantazmatami nie cofa się przed niczym – chce dojrzeć Wszystko (*unus mundus*)”). Tym bardziej że zgłoszona w pozycji książka Bolaño może (nie musi) nieco zmylić trop.

Lektura dosłowna, czytanie niewykłające się w dyskurs, który coś odczytuje, lecz niczego nie wyjaśnia (ani nie „rozjaśnia”) wydaje mi się bliska. Być może nie w metodologicznym instrumentarium, lecz w wymiarze etycznym, to znaczy takim, który pozwala poszukiwać odpowiedzi na zdeformowane pytanie: „co autor powiedział?” lub „co autor chciał powiedzieć?”. Być może nie zadałbym tego pytania do „trzewi”, a raczej do samego dna, jednak różnica wynikałaby raczej tylko (i wyłącznie) z poszukiwania podpowiedzi u innych teoretyków. Ów etyczny gest dostrzegam przede wszystkim w bardzo mi bliskim rozczytaniu przez Marka Sznajdera wrażliwości Gradego. Odzyskanie świata, którego nie można odzyskać, dzieje się w kapitalnie bezinteresowny sposób. Rozmowa w „utraconym języku” oddaje głos tym, którzy „odeszli w milczeniu”. Grade z opowieści pana Marka Sznajdera cofa się w czasie po to, aby wrócić do wspólnoty, a nie dlatego, aby wyrównywać rachunki, czy spłacać zaciągnięty dług, a na pewno nie dlatego, żeby kogokolwiek przekonywać do własnych racji, lecz wyłącznie po to, aby być we wspólnocie – rozdzielać i czerpać swoje *jidyszkajt*.

Wrażliwość Gradego jest tyleż filozoficzna co pragmatycystycznie polityczna, a nawet ekonomiczna. Dostrzegłbym tu nawet to, co Jean Luc Nancy w *Rozdzielonej wspólnocie* nazwał prowokacyjnie „komunizmem literackim”: „Tu, w tym zawieszeniu, jest miejsce komunizmu bez komunii jednostkowych bytów. Tu jest miejsce posiadania miejsca, które samo miejsca nie ma, nie ma wydzielonej albo poświęconej dla własnej obecności przestrzeni wspólnej”. Tym, co najbardziej ujmujące w rozprawie magistra Marka Sznajdera, wydaje się być powtarzający się na kilku poziomach gest niezawłaszczania. Stosunkowo niewielki stan wiedzy polskiego literaturoznawstwa na temat pisarza w zasadzie nie wymusza ustalenia jakiejś osobnej dystynkcji, która pozwoliłaby odróżnić Gradego w ujęciu Sznajdera od Gradego w ujęciu Lisek, Ruty lub Aliny Całej. „Najważniejszy elegista” jest tylko żydowski, to znaczy należący do wspólnoty. Polszczyzna jeszcze nie „ugruntowała obecności jego słowa, która ułatwiłaby ponadindywidualne poruszanie się po jego twórczości” [s. 3], wszelako wielowiekowa historia wspólnoty korzystała z wielu języków. Język nie jest barierą nie do pokonania. Grade korzystał

z pomocy zaufanych translatorów, którzy w porozumieniu z nim dokonywali przekładów na język angielski. Pomimo znajomości jidysz doktorant zrezygnuje z bezpośredniej lektury tekstów prozatorskich Gradego, a zamiast tego skorzysta z „ponadindywidualnego” przekładu.

Podobny gest znaleźć można w lekturze niemal każdej opowieści (użyłbym słowa: narracji, jednak Doktorant raczej unikał tego słowa; w rozprawie pojawiło się tylko raz). Elegijny charakter prozy wynika z najbardziej dosłownie potraktowanej ekonomii. Świetnie rozczytana przez Sznajdera *Studnia* jest opowieścią o przekroczeniu samotnego „ja”. Działanie tragarza Mendego wydaje się być jednym z najprostszych działań arytmetycznych: sprowadzeniem do wspólnego mianownika. Akcja historii przyjęcia zobowiązania jest nieustannym przekraczaniem granicy własności, a dokładniej naruszenia przekonania, że własność nie musi dotyczyć (w gruncie rzeczy: nie dotyczy) jednej osoby, a mówiąc prościej, chodzi o obnażenie jednego z najczęściej popełnianych błędów, który wynika z założenia, że to, co należy do wszystkich, faktycznie nie należy do nikogo (Barthes określiłby to jako mitologiczną *de-nominację*). W *Studni* chodzi wszak o uruchomienie punktu czerpania wody, co pozwoli przywrócić najbardziej dosłowne wspólnotowe znaczenie pojęciu „dzielić się”. Dzięki temu przestanie ono oznaczać limitowanie, wydzielanie czy reglamentację. Jak pisze pan Marek Sznajder: „Porządek rzeczy jest taki: zrazu społeczność tworzy »mnie«, później »ja« mam obowiązek aktywnie ją udoskonalać” [s. 120]. Jednakże każde zobowiązanie staje się ważne tylko wówczas, kiedy zostanie przyjęte przez obie strony – regulacja wynika wyłącznie z „różnicy numerycznej” [s. 81], a nie z chronologii (mówiąc najprościej: nie ważne, kto zaczął). Opowieść o tragarzu Mendem i jego zobowiązaniu jest historią wciągania kolejnego „ja” – namową, prośbą, sprytem, (trochę szantażem) – do wspólnoty. Zbytne przywiązanie do „ja”, które wyznacza to co „moje” staje się wręcz logiczną pułapką. (wpada w nią reb Awigor, który dając jałmużnę faktycznie partycypuje w kosztach).

Zresztą cała prozatorska elegijność (melancholijna w równym stopniu) jest szczególnym rodzajem ekonomii – wszak w najoczywistszym sensie dotyczy straty. Kończąc rozdział poświęcony *Mojej wojnie z Herszem Rasejnerem* autor rozprawy dokonuje właśnie takiego elegijno-ekonomicznego przeliczenia „Choć w tej nowej perspektywie codzienność bardzo wiele »traci« (niemal cały wszechobecny byt), przez swą »ofiara« zyskuje coś cenniejszego – tajemnicę. Analogiczny los spotka nadcodzienność (metafizykę), ona również traci niemal wszystko, co było dla niej przez wieki cenne [...]. Pisarz operujący na obrazach [...] re-kreuje rzeczywistość. Później wypracowane przez niego ryty i wyżłobienia (*habitis*) mogą stać się elementami porządku codziennego. Jeśli działają, mogą zmieniać nasze nawyki [wówczas] zwyczaje te są prawdziwe. Dlatego Grade, sam ateizując, doskonale potrafi pisać o Bogu, o poczuciu opuszczenia i zmaganiach w poszukiwaniu jego przełamania” [s. 77]. Każda z opowieści Gradego dotyka granicy, która jest nieprzekraczalna. Żadna z nich nie projektuje zdarzeń ani postaci z innego świata lub w innym świecie. Metafizyka cały czas pozostaje bardzo fizyczna (przedrostek *meta* nigdy nie

był partykułą zaprzeczającą). „Każde wydarzenie ma swój poprzednik, bez którego nie można rozpatrywać go samodzielnie jako następnika” [s. 81]. Nieważne w jaki sposób, czas Jeruzolimy Północy będzie już zawsze przeszły i nie będzie musiał korzystać z linearnej chronologii, która porządkuje sekwencję zdarzeń od przeszłych, przez teraźniejsze po przyszłe. „Ateizująca” konwencja elegii polega na tym, że opowiadana lub celebrowana przeszłość nigdy nie funkcjonuje jako projekt, lecz wyłącznie jako wspomnienie. Autor *Jesziwy* nie dobywa rzeczywistości znikąd, lecz z przeszłości. *Szabaty mojej matki* bardzo konkretnie określają własność. Wspomnienia, których fundamentem są ostatnie słowa matki Gradego: „pamiętaj o szabacie”, w najbardziej dosłownym odczytaniu są opowieścią o pomnożeniu zobowiązań. Grade nie składa żadnych deklaracji wobec Boga, lecz jedynie replikuje zobowiązanie swojej matki. U poety „pamiętanie o szabacie” ma tyleż wymiar rytualny, co przede wszystkim mnemotechniczny. Jedną z fundamentalnych reguł prawa rzymskiego głosi, że „zobowiązanie jest węzłem prawnym”. Przekładając szabasowy nakaz matki na tę regułę należałoby zapewne przyjąć, że dla „elegisty” najistotniejszym elementem nie byłoby ani zobowiązanie, ani prawo, lecz sam węzeł. A mówiąc najprościej, Grade obchodzi szabas swojej matki dlatego, że o nim pamięta. Być może faktycznie jest tak, jak dawno temu zauważył Northrop Frey, że „rytuał ciąży ku czystej narracji”. „Pamiętaj o szabacie” zanotowane we wspomnieniach Gradego jest zdaniem kompletnym, pełnym, dosłownym i absolutnym – nie wiem, czy zmieściłby się w nim jeszcze Bóg. To już jednak problem tyle logiczny, ile gramatyczny. Takim go zostawmy.

Autor *Jesziwy* gromadzi wspomnienia, jednakże nigdy ich nie zawłaszcza. Zaangażowanie w przeszłość jest u Gradego analogiczne do jego zaangażowania społecznego (politycznego). Poeta „re-kreuje” rzeczywistość w taki sam sposób, jak chciałby redystrybuować każdy element. „Re-kreowanie” świata czy rzeczywistości („mniejsza o nazwy”) nie ma na celu uporządkowania rachunków, lecz usiłuje dokonać bilansu. „O opisywane przeze mnie osoby nikt nie chciał się nigdy upomnieć” – mówi Grade w *Niemym minianie* [s. 43]. W komentarzu pana Marka Sznajdera do tego fragmentu znajdziemy zapewnienie, że nie chodzi tu o jakiegokolwiek historyczne i dydaktyczne wymierzenie sprawiedliwości. „Niewidzialność” (niezauważalność lub przezroczyść) nie jest wynikiem wykluczenia, lecz powszechności (codzienności, która zaciera dystynkcje). Opowieść o tych, „o których nikt się nie upomni” wydaje się samym sednem wspólnoty. „Najważniejszy elegista” nie zbiera historii, które nie należą do nikogo, lecz przez swoją powszechność („metafizykę codzienności” [s. 188]) należą do wszystkich. I chyba dlatego w koncepcji pana Marka Sznajdera świat prozy Gradego jest światem przedstawionym, lecz tylko o tyle, o ile będzie światem współdzielonym. Autor *Jesziwy* i *Aguny* w ujęciu Marka Sznajdera nie jest twórcą, nie jest też odtwórcą, lecz współtwórcą. Nie jest posiadaczem „kapitału” zawartego w pamięci po świecie Litewskiej Jeruzolimy, nie jest nawet jego dysponentem. Wszelkie nadmierne zawłaszczenie, to znaczy oderwana od całości chęć posiadania czegokolwiek:

przedmiotu, człowieka lub racji grozi nieuchronną i wieszczą żydowską zgubę. W zasadzie o tym jest *Aguna*. Poświęcony tej powieści i (temu problemowi) rozdział na pewno należy do jednych z najlepszych fragmentów rozprawy. Mamy tutaj nie tylko katastrofę prawa (zobowiązania, które nie należy do nikogo), wielokrotne wykluczenie, pragnienie zachowania wpływów, aż w końcu przekształcenie wspólnoty w bezmyślny i okrutny tłum. Wrogiem wspólnoty (jakkolwiek pojętego *jidyszkajt*) nie jest bowiem osobność czy samotność, lecz zacierająca tożsamość i nienasycona homogenizacja. Bodaj najbardziej wstrząsający jej obraz pozostawił Chaim Grade w poemacie opowiadającym o pogromowych Kielcach.

Nie mam wątpliwości, że rozprawa przedstawiona przez pana magistra Marka Sznajdera spełnia wymogi stawiane przed pracą doktorską. Chciałbym jednocześnie bardzo wyraźnie zaznaczyć, że byłoby wielkim niedopatrzaniem, gdyby zamknięcie przewodu doktorskiego miało oznaczać koniec podjętych przez magistra Marka Sznajdera badań. Na głęboką refleksję czeka nie tylko Chaim Grade, lecz wciąż słabo znana Jerozolima Północy. Potencjał, jaki zaprezentował w doktorant w swojej dysertacji będzie owocował w nieodległej przyszłości. Rozprawa doktorska zasługuje na wyróżnienie. Już teraz zapraszam pana Marka Sznajdera do udziału np. w cyklicznej konferencji „Żydzi wschodniej Polski”, a zanim rozprawa dopełni się drukiem w postaci monografii autorskiej (a tak stać się powinno) namawiam do publikacji osobnych artykułów w czasopismach poświęconych studiom nad literaturą, historią i kulturą Żydów. Całkowicie pomijam wszelkie drobiazgi w formie literówek czy przejęzyczeń, które są najwzierniejszym towarzyszem pracy każdego naukowca. Nie pozostaje mi zatem nic więcej jak zakończyć recenzencki rytuał właściwą formułą i oceną, która była wcześniej sygnalizowana.

Przedstawioną mi dysertację oceniam pozytywnie i z przekonaniem wnioskuję o dopuszczenie pana magistra Marka Sznajdera do dalszych etapów przewodu doktorskiego.



dr hab. prof. UŚ Maciej Tramer